Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 16. Stycznia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 3.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy)

II.

Zaledwie oczy otworzyłem, a otworzyłem je w południe — Józef podał mi list.

— Od kogo?

— Z Wronowa.

— Walek wrócił? — spytałem.

— Wrócił panie, legł w stajni i śpi. Mówił, że jak tylko pan wyjechał, fornale otworzyli mu stajnię i zabrali do karczmy przepić tego rubla, co od pana dostali.

Słuchając sprawozdania Józefa otwierałem list. — Koperta blado różowa i papier listu tegoż samego koloru. Przyjemna woń Jockey-Clubu łechtała mi powonienie.

»Spragnieni nowin z wczorajszego balu, czekamy na pana z obiadem. Przyjeżdżaj pomódz nam zwalczać nieznośne nudy, tego jedynego wroga, który otwiera swą paszczę aby nas pożreć.

Dévouée

Klementyna.«

Wronów godzina 10 rano.

Uśmiechnąłem się. Pochlebiał mi list mamy panny Izy. Zasiadłem do herbaty rozpromieniony przerzucając dzienniki.

Wyborny traktat o Szekspirze!

Drzwi się z hałasem otwarły — Rzepecka staje w groźnej postawie.

— Cóż tam nowego kochana pani?...

— Kaśce z przeproszeniem pańskiem zachciewa się marcypanów.

— To niepodobna — zawołałem.

— Cóżto kłamałabym panu w żywe oczy! — Rzepecka widocznie była w fatalnym humorze — chcąc się jej pozbyć zrywam się i biegnę do kuchni. Rzepecka za mną.

— Kasiu, czy to prawda?...

— Pieść pan, pieść z przeproszeniem taką małpę. — Kasiu, kasiu — powtarzała Rzepecka z przyciskiem wymawiając *s*.

— Cicho — krzyknąłem na Rzepeckę obrażony. — A jeżeli się Kasi zachciewa marcypanów, rozłożyć ogień w piecu i piec marcypany.

Rzepecka otworzyła szeroko usta — Kasia zalała się łzami.

— Nie chcę marcypanów, — mówiła płacząc, tylko sprawiedliwości — żur nieomaszczony, ziemniaki jałowe.

— A coś ty zrobiła z cielętami? — mleko dla nich wypiłaś ze skopca, a grochówkę wyjadłaś. Cóżto ślepa jestem?

Parobek postawił miskę żuru i kartofle przedemną. Zrobiłem groźną minę.

— Pani Rzepecka kartofle i żur nie omaszczone.

— A to mnie pan przy ludziach będzie poniewierał, a to już z przeproszeniem niedoczekanie pańskie, abym tu dłużej służyła.

Rzepecka z mocą położyła klucze na stole.

— Kasiu, bierz klucze — rzekłem — wołaj Józefa i przynoście ze spiżarni słoniny na omastę.

Rzepecka porwała klucze.

— Takiej z przeproszeniem małpie klucze bym dawała! — Nie oddam kluczy tylko do rąk samej pani. — Bo przecie raz już się jej doczekamy, jeżeli z przeproszeniem będzie się pan o nią bił? Miałabym też o kogo. — Cóżto za partja dla pana? Bo to piękny pan, pan z panów i rozumny i bogaty — a cóż ona?

Widocznie Rzepecka mi pochlebiała.

— Rzepecka milcz! — zawołałem.

— Otóż nie będę z przeproszeniem milczała, aż powiem swoje. To pana chcą we Wronowie — a pan gdzie leci? Leć sobie kiedy się panu podoba, ale tego pożałujesz.

— Bo prawda bez urazy wielmożnego pana — odezwał się karbowy, kłaniając się czapką do ziemi. Co wielmożnemu panu włazić do tej chudziny, a nie lepiej to przylepić Krzykawkę do Wronowa, toby było hale...

— Nic tylko uroki, jak mego Boga kocham, tylko uroki. Pewno ta szelma Kwaczyńska zadała coś abo w zupie, abo w sosie.

Kwaczyńska zawzięta antagonistka Rzepeckiej służyła za gospodynię u państwa Trybulskich.

— Pewnikiem — poświadczył karbowy.

— Kto wam pozwolił mięszać się do moich spraw?

— Kto nam pozwolił? — przerwała Rzepecka — kto nam pozwolił? — powtórzyła wybuchając płaczem. A toć ś. p. nieboszka pani — niechaj jasność wiekuista świeci nad jej duszą; (karbowy, parobcy i dziewki pochylili głowy) nie mówiłaż mi sto razy, Rzepciu, pamiętaj o mym jedynaku, jak o swoim. Ja swego z przeproszeniem wykierowałam na ludzi, jest kucharzem w Rozdołach i — ożenił się z córką restauratora w Staszowie. Na mnie to dosyć. Ale z przeproszeniem pan?

Rzepecka służyła zaledwie od kilku lat w Krzykawce. Przebaczyłem jej małe to kłamstwo, a rozbrojony wspomnieniami dobrej mej matki wyszedłem — dodając o ile mogłem rozkazująco:

— Kartofle i żur omaścić, pilnować gospodarstwa, do moich interesów wara.

— Proszę pana — szepnął mi Józef w pokoju — Rzepecka bez to taka zła, że pan pono z Trybulszczanką chce się żenić. Walek nagadał Bóg wie co.

Kazałem zaprzęgać; w całej historji, Fruzi tylko było mi serdecznie żal. Cóż ta dziewczynka winna? — powtarzałem sobie.

— Proszę pana Walek jeszcze śpi — zameldował Józef.

— Zaprzęgaj sam parę i zajeżdżaj.

Przed ganek zatoczył się powozik.

— Dla czegoś do powozu założył?

— Takeśmy proszę pana uradzili z Rzepecką, ekonomem i karbowym.

Pozwoliłem się zteroryzować Rzepeckiej i ekonomowi, przysięgając sobie, że to już po raz ostatni.

Ruszyliśmy, lecz gdy na zakręcie drogi obejrzałem się, zobaczyłem całą gromadę służby z Rzepecką na czele, patrzących ciekawie, w którą stronę pojadę.

Powozik zatoczył się cicho przed murowany dwór Wronowski. Z ganku zbiegł żywo służący porozumiewając się z mym Józefem znacząco oczami.

— Państwo, proszę jaśnie pana w salonie — objaśniał pomagając mi wysiąść.

Przebiegłem kamienne schody, spiesząc do salonu, gdy tymczasem Jędrzej nazwany André, szeptał coś z moim Józefem.

W salonie zastałem całe towarzystwo wronowskie prócz panny Izy.

— Pan Ignacy — pierwsza przemówiła pani Klementyna, wyciągając do mnie rękę.

— O mało coś się nie spóźnił — mówił wesoło uśmiechnięty pan Samuel, a miałbym do ciebie żal, bo ani się domyślasz co będzie dzisiaj na obiad. W tem miejscu pani Klementyna westchnęła, ja zaś witałem się serdecznem uściśnieniem rąk z panem Samuelem, a dziedzicem Wronowskim. Panna Adela dygając à la bergère ośmnastego wieku — podała mi dwa paluszki.

— Iza — mówiła po francusku — troszkę dziś zmęczona.

— Pięć minut czekam — przerwał dziedzic Wronowa, patrząc na zegarek.

Malutka figurka panny Adeli stąpając szybko a drobniutko przesuwała się przez salon i zniknęła.

— Wiemy już i my troszkę o wczorajszych historjach — zaczął pan Samuel.

— Panie Ignacy, zaklinam cię, ani jednego słowa, aż póki Izia nie przyjdzie. Jestem zaciekawiona, a nawet niespokojna o pana, lecz postanowiłam się poświęcić dla Izi i czekać. Bo też dziecko tak się tu okropnie nudzi.

— Raczyłaś pani być aż niespokojną o mnie? — powtórzyłem zdziwiony.

— Historje, awantury, pojedynek... To mówiąc pan Samuel zatarł ręce, uśmiechnął się i spojrzał na zegarek. Jeszcze trzy minuty! Jeżeli się Izia nie ukaże za trzy minuty — idziemy sami.

— Ależ Samuelu.

— W tym wypadku moja droga nie ma dyskusji. Zupa dziesięć minut, paszteciki dziesięć, sztufada dziesięć — razem trzydzieści minut, a zobaczycie raritas. Spóźnienie sparaliżuje wszystko! Kozicki skompromitowany w swej sztuce — obrażony, zagniewany, a my smutni i jak po zawodach nieswoi. — I jeden dzień stracony.

Otworzyły się drzwi, w których ukazała się fertyczna figurka Adeli.

— Idzie, idzie — oznajmiała rozpromieniona sunąc drobniutko naprzód.

— Brawo, wybornie — zawyrokował pan Samuel.

Pani Klementyna wpatrywała się w otwarte podwoje.

Nareszcie ukazała się wychuchana, wyświeżona z białą różą we włosach panna Iza. — Szła majestatycznie wprost do matki, pocałowała ją w czoło — a w zamian, swoje czoło dała do pocałowania ojcu.

— Ponieważ mamę zastałam w salonie, jestem pewną, żeście państwo czekali z nowinami na mnie — zwróciła się do mnie wyciągając rękę.

Ręka była wązka, biała i wypieszczona.

Pan Samuel klasnął w dłonie — służący drzwi jadalnego pokoju otworzył.

— Zaczynamy — rzekł dziedzic Wronowa z powagą konsula rzymskiego.

Podałem rękę pani Klementynie — pan Samuel córce i Adeli — i pomaszerowaliśmy na uroczystość tak niecierpliwie oczekiwaną przez gospodarza domu, który ciekawie zaglądał do wazy, wpatrywał się w talerz — i nieznacznie, o ile dystynkcja pozwalała, oblizywał się. Nareszcie z rozkoszą artysty, biorącego w chwili natchnienia dłuto lub pióro do ręki, pochwycił łyżkę.

Zupa musiała być wyborną, gdyż pan Samuel kosztując uśmiechał się, a gdy skończył:

— Brawo Kozicki, brawo — mówił wesoło. Wiesz Klimciu, że pozwoliłbym sobie jeszcze połowę talerza gdyby nie trzecia potrawa.

— A teraz opowiadaj — zwrócił się do mnie.

— Wybornie — pochwyciła panna Iza — opowiadaj pan nie opuszczając żadnego szczegółu.

Pani Klementyna dała znak lokajowi, aby chodził cicho i nie stukał talerzami.— I znowu z pewnym rodzajem wykwintnego łakomstwa, oczekiwano na drugą ucztę mającą zaspokoić o tyle ciekawość o ile pierwsza zaspakajała podniebienie.

Opowiadałem nie oszczędzając nikogo — oprócz samej Fruzi. Wybuchy śmiechu ze strony słuchaczy, były częste i serdeczne. — Rozkoszowali się papą Trybulskim — Piekarską z domu — Dumciem, Kaczkiewiczem i sąsiadami. Gdy przyszła kolej na Walka, powrót i sceny w domu z Rzepecką — panna Iza z radości klaskała w dłonie — mama jej pomagała, a Adela nie mogąc wszystkiego po polsku zrozumieć, interpelowała wszystkich z kolei — i wszyscy starali się jej wytłómaczyć szczegóły po francuzku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŚLADY EKSPEDYCJI FRANKLINA.

Gazety amerykańskie komunikują szczegółowe sprawozdanie, oparte na podstawie sprawozdań geometry Henryka Kluczaka, Prażanina, który brał udział w wyprawie Szwatki.

W początkach lipca 1879 roku, spotykamy ekspedycję w pobliżu przylądka Feliksa, stanowiącego najwyższy punkt kraju King-Wiliam. Około 15—20 mil w stronę morza znajduje się miejsce, gdzie 12. września 1846 r. lód bezwarunkowo zatamował dalsze posuwanie się okrętów. Tu właśnie między przylądkiem Feliksa i zatoką Irwinga rozbiły się wszystkie nadzieje ekspedycji Franklina, tu rozpoczęła się jego bezczynność, jako prolog do dalszych nieszczęść, tu śmierć zabrała Johna Franklina, porucznika Grahama Gore i 15 osób załogi, tu nareszcie dla pozostałych przy życiu rozpoczęły się straszne męki, które skończyły się w objęciach pożądanej śmierci.

Dwa w pobliżu znajdujące się, sztucznie ułożone stosy kamieni uszły baczności burzliwych krajowców a zostały dokładnie zbadane przez naszych podróżników. Jeden z tych stosów kamiennych znajdował się około 2 mil w głąb kraju, miał wysokości 8 stóp, a charakter jego budowy, gęstym mchem pokryte kamienie i otoczenia najbliższe dowodzą najwyraźniej, że biali sami sobie tu pomnik wystawili.

Przy zbadaniu drugiego stosu położonego nad wybrzeżem odnaleziono stary papier, na którym narysowaną była ołówkiem ręka naturalnej wielkości. Dolna część papieru pod działaniem atmosferycznych wpływów uległa zniszczeniu.

Dalszem miejscem, gdzie badacze nasi dłużej się zatrzymali, jest zatoka Irvinga, położona około 15 mil w stronie południowo-zachodniej od przylądka Feliksa nad zachodniem wybrzeżem kraju King-Williama. List kapitana Maclintocha złożony między kamieniami dowodzi stanowczo, że w tem miejscu 105 osób po opuszczeniu statków na ląd wysiadło. Znaleziono tu skarpetki i rękawiczki uszyte przez nieszczęśliwą załogę z wełnianych kołder. Fakt ten dowodzi, jak trudno ludziom tym było oprzeć się tutejszym warunkom klimatycznym, prócz tego bowiem zmuszeni byli okrywać się w czerwcu kożuchami. Tu pozostawili oni wszelkie zbyteczne przedmioty, a rozmaitość pozostałości, począwszy od szczoteczki do zębów aż do czterech kuchni, dowodzi, że miejsce to podróżnicy nasi obrali sobie jako punkt główny; ztąd zaś miano się dalej posuwać.

Kilkudniowy pobyt poszukiwaczy i eskimosowych przewodników w tem miejscu obrócono na zbadanie najdrobniejszych szczegółów, takich nawet jak śrut i kule, a mimo to nie znaleziono żadnej wskazówki, mogącej wyjaśnić życie i zachody nieszczęśliwych. Podczas obchodzenia wybrzeża od strony południowej znaleziono tu i owdzie leżące pojedyńcze części odzieży, dowodzące jak szybko śmierć przerzedzała ich szeregi. Dwa szkielety, z których jeden znaleziono w miejscowości Franklin, drugi w Le Viscomte pochowano. Drugi szkielet zdawał się pochodzić z trupa oficera, o ile wnosić można z pozostałych resztek odzieży. Najbardziej godnem uwagi jest miejsce między tą zatoką a przylądkiem Crozier; jestto przystań znana dzięki Maclinctochowi, a której historyczną wartość

najnowsze badania bardziej rozszerzyły. Miejsce to odnalazł drugi oficer Maclintocha, porucznik Haboon, który odkrył tu łódź zasypaną śniegiem i umieszczoną na saniach, w których prócz tego leżały dwa szkielety. Idąc śladem znalezionych tych przedmiotów eskimosi z pokolenia Nechtiliku podążyli ku zachodniemu wybrzeżu, gdzie znaleźli o $^1/_4$ mili od tamtego miejsca drugą łódź złożoną również na saniach.

Na półwyspie Graham Gore znaleziona czaszka białego wskazywała, że białych tu więcej być musiało, podczas gdy w zatoce Terror wyłącznie poprzestać należało na zeznaniach naocznych świadków eskimosów. Jeden z nich, kobieta nazwiska Allanak opowiada, że co rok po widzeniu przez nich białych, rodzina jej, udająca się na polowanie na foki, zatrzymywała się w okolicy zatoki Terror. Na pagórku po stronie zachodniej od wspomnianej zatoki znalazła ona w niewielkiej odległości od morskiego wybrzeża namiot, a w nim znaczną ilość szkieletów, których liczby dokładnie podać nie może. Pobieżnie zaznaczyć tu należy, że ludność miejscowa więcej niż do dwudziestu rachować nie umie, i że wszelką ilość, wyższą po nad tę, określają tu wyrazem *Amisnadly* (dużo). Dokoła namiotu leżało również wiele szkieletów. Dwa z nich widocznie grzebano, czego dowodzą pokrywające je kamienie i piasek. Wewnątrz namiotu leżały kołdry, odzież, książki i inne przedmioty, których znaczną część w mowie będący eskimosi zabrali. Lecz i szkieletów zmarłych również odnaleźć nie zdołano, mimo dokładnych poszukiwań na wybrzeżach zatoki Terror; zaś wedle zeznań eskimosów już przed sześcioma laty, gdy po raz ostatni miejsce to zwiedzali, nie dostrzeżono ich śladów dawniejszych.

Na wschód zatoki Terror, gdzie bezwątpienia cofający się przy braku pomocy padali i gdzie też większa część z nich pomarła, pojedyńcze nie pochowane ludzkie szkielety dowodzą, że miały one za życia dość siły, aby powlec łódź na sanie.

Wpomniana Allanak widziała około dziesięciu żyjących ludzi w okolicy przylądka Herschel, gdy chorzy i wygłodzeni włóczyli się po wybrzeżu King-Willam, zdążając na południowschód. Czterodniowy ich pobyt z miejscową ludnością, od których biali dostali nieco pożywienia, dozwolił owej Allanak poznać się bliżej z niektóremi osobami, a zeznania jej potwierdzają, że między nimi było kilku oficerów i jeden tak zwany *Doktuk*. Był to zapewne jeden z czterech lekarzy, którzy brali udział w ekspedycji. Czy znajdujące się na przylądku Herschel stosy kamieni wzniesione zostały jako pomnik przez białych, na pewno twierdzić nie podobna, gdyż poszukujący nie mogli w tej kwestji ani wynaleść dowodów, ani też z zeznań eskimosów dójść do rezultatów pewnych.

Dalsze badania sięgają aż do punktu przezwanego Telloch, gdzie już kapitan Hall w 1869 r. znalazł szkielety.

Trupa w miejscowości Telloch nie pochowano, a nieszczęśliwy ten, obok szkieletu znalezionego śród podobnych okoliczności przez Maclintocha nad zatoką Waszyngtona, dowodzi, jakie szalone czyniono wysiłki, aby dostać się do miejscowości cieplejszych i jak wielkie męki w ostatnich stadjach wygłodzenia znosili ci, którzy pierwsi dotarli do tak zwanej północno-zachodniej łącznej cieśniny między dwoma Oceanami, oblewającemi Amerykę.

Na wybrzeżu półwyspu Adelaidy eskimoska niejaka Tuktauzy wskazała miejsce, o którem już poprzedni poszukiwacze wspominali, i które niegdyś przez samego Maclintocha poszukiwane było na wyspie Montreal, przy ujściu rzeki Bocka.

Przewodniczka ta, staruszka lat 70 do 75, widziała na piaszczystym brzegu łódź zapełnioną szkieletami, dokoła której leżały czaszki i inne ludzkie kości. Jeden tylko człowiek był jeszcze trupem, t. j. niepozbawionym skóry i ciała. Po szczegółowem zeznaniu dotyczącem tego trupa, poszukiwacze doszli do tego przekonania, że człowiek ten zmarł na jedną wiosnę przed przybyciem w to miejsce staruszki. Trzykrotne zwiedzenie tego miejsca, na wiosnę, latem i jesienią dozwoliły poszukiwaczom odkryć pod piaskiem i pod trawą morską kości, odzież i medal pamiątkowy, co wszystko potwierdziła prawdomówność staruszki.

I tu jeszcze jeden, ale to tylko jeden nie stracił nadziei dostania się do domu i o pięć mil od tej głodowej zatoki leżą na samotnym pagórku resztki „ostatniego z zaginionych"; tak przynajmniej się zdaje, o ile możliwem jest, aby umysł ludzki i energia naukowych ekspedycyj zdołała po upływie 31 lat oznaczyć kolej, jaką załoga Franklina przebyła.

Co się tyczy obu statków ekspedycyjnych, doniósł jeszcze 1853 r. dr. Rae, że jeden z nich zginął na północno-zachodniem wybrzeżu kraju King-William, podczas gdy drugi, gnany krami i wichrem, pchnięty bardziej na południe, rozbił się w miejscu odległem o ośm mil na zachód od Grand Point.

Oto pokrótce opowiedziane rezultaty najnowszych poszukiwań i żałować należy, że dawniej już nie postanowiono spędzić jednego lata w King-Williamie. Obecnie dopiero przekonano się, że dalsze poszukiwania są daremnemi, zaś dokładne wyjaśnienie dziejów ekspedycji Johna Franklina niemożliwe — lub też należy je zostawić nieprzewidzianemu przypadkowi. Jakkolwiek ostatnie te poszukiwania nie przyniosły szczególnych rezultatów, jednakże stanowią one zajmujące ogniwo w dziejach badań geograficznych. Moralną zaś satysfakcją ostatniej tej wyprawy jest to, że nareszcie szczątki nieszczęśliwych, szkielety pomarłych ofiar, które przez 15—30 lat leżały nie pochowane, obecnie spoczęły w ziemi, zasypane rękami śmiałych poszukiwaczy.

TROILUS i KRESSYDA

DRAMAT SZEKSPIRA

STUDIUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

Nie małem byłoby zadaniem wyszukać w literaturze dramatycznej europejskich narodów utwór poetyczny, któryby wywołał do tego stopnia różnorodne zdania i tyle hypotez co Troilus i Kressyda Szekspira

Przedewszystkiem krytycy nie zdołali na to się zgodzić, jak go klasyfikować, czy między tragedje, komedje, lub tak zwane historje. Kiedy Anglik Coleridge widzi w nim wielką historyczną kompozycję w stylu Albrechta Dürera, przeciwnie Henryk Heyne twierdzi, że to ani tragedja ani komedja (czemu trudno zaprzeczyć), ale najwięcej oryginalnym utworem Szekspira, którego doskonałość podziwiać, ale pod rozbiór krytyczny brać niepodobna, gdyż to by wymagało prawideł estetycznych, które będą kiedyś, ale nie są jeszcze ustanowione. Ten sam krytyk wykrył w tem dziele gorycz pełną uniesienia (eine jauchzende Bitterkeit), ironję świat cały wyzywającą w szranki, słowem ma to być tragiczna bogini, którą opanował kaprys, by raz jeden się rozweselić. Goethe nie waha się stawiać „Troilusa i Kressydę" na rowni z Iliadą; ma to być udałem przeistoczeniem epopei klasycznej na romantyczno-dramatyczne kopyto. Kończy zaś krytykę swoją słowy, które bez ujmy czci wielkiemu pisarzowi nie dają się przetłumaczyć. „Aehnliche Persönlichkeiten und Charaktere werden hier mit leichter Bedeutenheit vorgespiegelt, und einer späteren Menschheit neuere Menschlichkeiten durchschaubar vorgetragen" *Comprenne qui pourra!*

Wobec tej przesady i zachwyceń nie koniecznie rzetelnych, oddycha się wolniej czytając w studjach dramatycznych Wilhelma Szlegla, że jak Cerwantes w Donkiszocie wydrwił romanse tak zwane rycerskie, tak znowu Szekspir założył protest przeciw ubóstwianiu ksiąg trojańskich, zdanie, za którem wiele mówi. Równie gorący wielbiciel i komentator Szekspira Tieck, twierdzi, że Troilus i Kressyda na scenie publicznej przedstawiane nie były, i autor je na obstalunek dla teatru amatorskiego napisał; wniosek, który dowodzi, że krytyk temu utworowi nie przypisywał wyższej, artystycznej wartości.

Przed nim stary Voss, tłumacz Iliady, i który wżył się w nią niejako, nie waha się wypowiedzieć zdania, że ta mniemana jej parodja byłaby tylko na teatrze marjonetek na miejscu.

Gerwinus mieni ją farsą dramatyczną, parodją, jeżeli nie Iliady to podań trojańskich.

Walterscott jest zdania, że kompozycję nieukończoną mamy przed sobą, na co zgodzić się można.

Ruemelin pochwala pojedyńcze ustępy, ale przyznaje, że całość jest mu niezrozumiałą.

Nakoniec Herwegh, poeta i tłumacz tego utworu, oddaje wielkie pochwały czterem scenom, które mają za przedmiot miłostki Troila z Kressydą, i te sceny liczy do najcelniejszych, które wyszły z pod pióra Szekspira.

Pomijamy inne, równie sprzeczne między sobą zdania angielskich i niemieckich krytyków.

Wobec tego stanu sprawy, jesteśmy zdania, że dopóki zapowiedziana estetyka przyszłości ostatecznego sądu o tej dramatycznej kompozycji nie wyda, należy przy rozbiorze krytycznym onej, trzymać się reguł logiki, oraz niezachwianych dotąd głównych prawideł dramaturgji. Z tego stanowiska rzeczony utwór policzonym być nie może do dzieł dramatycznych, czy to tragedji, czy komedji, czy tak zwanych historyj. Istotą dramatu jest akcja, która się stopniowo rozwija. Może ich być więcej niż jedna, ale natenczas wszystkie do wspólnego ogniska dążyć winne.

Obok akcji wymaga dramat charakterów, zawikłań które się z nich wylęgają, i ostatecznego tychże rozwiązania. Na tem wszystkiem zbywa naszemu utworowi. Nie ma początku i końca, nie ma charakterów z typem tragicznym lub komicznym.

*

Obok miłostek Troila z Kressydą, które sądząc po tytule, powinnyby główną stanowić akcję, przeciwnie zaś pomimo mistrzowstwa autora w malowaniu rozkoszy i cierpień miłosnych niewzbudzają najmniejszego udziału, kończą się zaś bardzo prozaicznie, stawia autor jako epizod sceny z Iliady z całym szeregiem jej bohaterów. Jedni w pierwotnych swych kształtach, drudzy skarłowacieli, najcelniejsi zaś trawestowani i wystawieni na pośmiewisko.

Już po pierwszem przeczytaniu bije w oczy, że ma się przed sobą dzieło złożone z różnorodnych materjałów. Współcześni Szekspira znali dokładnie owe materjały, wiedzieli więc jak gmach powstał. Przeto zagadkowość i różnorodność onegoż, które jak wyżej wykazano, pierwszorzędnych krytyków teraz zastanawiają, ich nie uderzały.

Gdy Szekspir pisał swe dramata, epopea poety angielskiego Chancera „Troilus i Cressida“ drukiem rozpowszechnioną została. Wiadomo równie jakie silne wrażenie wywarła w ostatnich latach wieku 16-go Iliada, tłumaczona na angielski język.

Już przed Szekspirem dwaj poeci wydali dramat pod tytułem „Agamemnon“, w który wplątano romans Troila i Kressydy. Inny znów poeta napisał farsę, której bohater: Thersites. Ani wątpić, że nasz poeta zużytkował owe płody poprzedników swoich. Ale gdy na nieszczęście one zaginęły, obecnie tylko z różnorodnej stylistyki, która cechuje poemat Szekspira, wnioskować można, jakie ustępy z dzieł poprzedników swoich on sobie przywłaszczył, a jakie przerobił. Zamiast zapuszczania się zaś w śledztwa bezowocne, w jakim stosunku Szekspir w poemacie swoim stanął do Iliady, co i tak jest jasnem, albo do legendy o Troilu, co nie udało się dotąd wyświecić, i tym sposobem mgły na tym utworze ciężące więcej jeszcze zagęszczać, byłoby raczej zadaniem uczonych, którym pierwszorzędne księgozbiory stoją otworem, dokładnie wyłuszczyć, co z ówczesnych źródeł Szekspir do swojego dzieła wciągnął.

A te źródła przynajmniej główne są następujące:

a). Romans o zburzeniu Tròi pióra normandzkiego trubadura Benoit de St. Maure z XII wieku.

b). Historia Troiana przez Guido delle Colunne z XIII-go wieku.

c). Zburzenie Troi przez mnicha Benedyktyna John Lydgate z XVI wieku.

d) Recueil des histoires troyennes przez Raoul de Fèbre z XVI wieku.

Nakoniec powyżej wspomniany Epos „Troilus i Cressida“ przez Chancera.

Mianowicie średniowieczna literatura Francji zasługuje na największe uwzględnienie, gdyż legenda o Troilu więcej była tam rozpowszechnioną, niż w innych krajach.

Że Szekspir znał wiele tych źródeł, dowodzą niektóre ustępy jego poematu. Ale pewnie nie ograniczył on się na wypożyczeniu nazwisk bram trojańskich (ob. prolog) konia Hektora i synów Priama z nieprawego łoża.

Poszukiwania owe przyniosłyby i tę korzyść, że naprowadziłyby na ślad, dla czego legenda o Troilu tak wielką miała wziętość, na co, sądząc z samej treści, bynajmniej nie zasługuje. Równie jakiego wzoru trzymał się Szekspir obrabiając tę legendę nie dramatycznie, ale więcej w kierunku idyllicznym, nakoniec, czy Troilus, jak on go nam przedstawia, jest wyłączną jego własnością.

Bo istotnie ów Troilus jest jedną z najponętniejszych postaci które wyszły z pod jego pióra. Możnaby go na równi stawić z Romeo, gdyby często styl przesadny i słodkawy który autor przejął z poematów średniowiecznych, nie psuł wrażenia *)

Pomimo głębokiej miłości, którą pała do Greczynki Kressydy, pomimo rad starszych braci i złowrogich przepowiedni Kasandry, królewicz młody nie waha się iść walczyć za cześć i sławę Troi (akt 2gi 2ga scena). Niepodobna szlachetniej i dobitniej motywować odmowę wydania Heleny Grekom jak temi słowy: „na niej polega cześć nasza i sława, ona jest naszym bodźcem do wzniosłych czynów, abyśmy wroga pokonali a w przyszłości sława nas opromieniała.“

Ale i miłość we wszystkich stopniowaniach począwszy od mąk w pierwszych jej zawiązkach, szczęściu przy jej rozkwicie, boleści, gdy przyjdzie chwila rozstania, dotkliwszej jeszcze, gdy nastąpi rozczarowanie, nader pięknie jest cieniowaną.

Pierwsze jego słowa brzmią: „niech przyjdzie mój giermek, aby mnie rozbroił. Na cóż nam po za murami walczyć, gdy walka tak sroga we mnie się odbywa. Czuję się słabszym od łzy kobiecej, powolniejszym od snu, łatwiejszym do uwiedzenia niż dobroduszność, bojaźliwszym niż dziewczę w nocy, dziecinniejszym od dziecka.“

A gdy po raz pierwszy zetknąć się ma z Kressidą, jakże pięknie skreślony niepokój, który go owładnął. „Zmysły, mówi, opuszczają mnie, niepokój mnie opanował. Jeżeli samo przeczucie szczęścia tak miłe, cóż dopiero gdy nektar spragnione nerwy pokropi. Omdlenie, śmierć widzę przed sobą, bo rozkosz będzie za wielką, bym znieść ją mógł. To jest srogiem znamieniem miłości, że wola i pożądliwość, gubią się w nieskończoności, czyn zaś ma swoje granice“. (akt 3ci scena 2ga). Przytem te proste od serca pochodzące słowa, które autor nie wydobył pewnie z rycerskich średniowiecznych romansów lub Iliad pohomerowskich, ale „z własnej skarbnicy:“ „mało, mówi, słów, ale niezachwiana wierność.“ A w scenie pożegnania (4ty akt 4ta scena) mówi: „nie troszcz się o moją wierność. Hasłem mojem jest uczciwie i wiernie, dalej nie sięgam **).

Scena między *kochankami* (2ga 4go aktu).

Troilus. „Wiatr poranny jest chłodnym; już dzień przebudzony spiewem skowronka rozgania kraczące wrony. Senna noc już nie zasłania miłostek naszych.

Kressida. Noc trwała bardzo krótko.

Troilus. Zła czarownica etc. etc.

Ta scena przypomina podobną scenę między Romeo i Julją. W tem tylko stanowcza różnica zachodzi i to na korzyść Troila i Kressydy, że tu toczy się rozmowa między kochankami, tam zaś między małżonkami.

Silne barwy odszczególniają scenę (2gą 5go aktu), w której Troilus przytomnym będąc w ukryciu schadzce Diomeda z Kressydą, przekonywa się, że kochanka jest mu niewierną. Jakże rozpaczliwie walczy w nim miłość i wiara z rzeczywistością. „Miłość i wiara, mówi, tak głębokie w sercu mojem zapuściły korzenie, że nie ma tam miejsca dla wszystkiego co oko widzi a ucho słyszy. Byłaż to Kressida? Nie. Jeżeli piękność ma duszę, nie była to ona. Jeżeli śluby wierności są natchnieniem duszy, jeżeli są święte, a jako święte od Boga przyjęte, natenczas nie była to Kressida.“

Ale chwilowe omamienie znika i młodzieniec staje się lwem.

Przysięga krwawą pomstę na rywalu swym Diomedzie: „Miecz mój, mówi, przebije hełm jego gdyby był nawet wyrobem Wulkana. Sroga fala morska, hurykanem przez sterników zwana, nie zagłuszy z większym wrzaskiem ucha Neptuna, niż mój miecz, gdy dotknie Diomeda.“

W obec tej rozpaczy rozczulający kontrast stanowi chwila, kiedy odbiera list od Kressydy, czyta go, a potem drze, wykrzykując jak drugi Hamlet „są to słowa, tylko słowa, ale serca nic. Niech wiatr idzie do wiatru. Słowy żywiła ona miłość moją ale sama komu innemu oddała się.“ (akt 5ty scena 3cia).

Troila, który w kreacjach Szekspira nie z tego względu wyjątkowe zajmuje stanowisko, że w nim widzimy mężczyznę kochającego kobietę która na to nie zasługuje, kiedy przeciwnie w tylu innych dramatach Szekspira odwrotny zachodzi stosunek — Ulisses słusznie nazywa prawdziwym rycerzem (4ty akt scena 5ta) i następującą charakterystykę jego podaje — ustęp jeden z najpiękniejszych, jaki wyszedł z pod pióra Szekspira.

„Zaledwie dojrzał, a już nie ma równego sobie; sławny, wymowny w czynach, nie czynny językiem, nie spory do gniewu ale raz obrużony nie da się łatwo ułagodzić. Serce i ręka zawsze otwarte, bo co ma, daje, co myśli, powie. Ale daje tam tylko, gdzie rozum ręką kieruje, a myśl nieczystą w piękne nie ubiera słowa.“

Rzeczywiście Troilowi brakuje tylko jednego: gloryfikacji przez śmierć na polu chwały, i szkoda że autor go nią nie obdarzył. Postać zaś mimo to jest tak piękną, i całe swe otoczenie do tego stopnia opromienia, że nawet ów wstrętny i zbyteczny Pandarus, owa nieudała imitacja Filistrata Bokaccia, i Chancera, chociaż ciągle jest z nim w styczności, przecież go nie kala.

(Dokończenie nastąpi.)

---

*) A przecież są znowu ustępy, gdzie Szekspir ten styl przedrwiwa. I tak: w 3. akcie 3. scena, Troilus tak wynurza się:

«Wierni pastuszkowie będą odtąd tylko na imię Troila przysięgać. Gdy piosnka ich przepełniona przysięgami na wierność i świetnemi metaforami szukać będzie nowego wyrazu, bo tamte już oklepane, jak n. p. wierszy gdyby stal, jak roślina w wzroście miesiącowi, słońce ziemi, gołąb swej gołębicy, ziemia swemu centrum, żelazo magnesowi, natenczas aby wiersz swój uświęcić najwyższym ideałem wierności, powie: wierny jak Troilus.»

**) Już w tej scenie znajduje się ustęp, gdzie Szekspir przedrwiwa jednego ze swych poprzedników. W chwili pożegnania kochanków, obecny Pandarus wykrzykuje: «Co za widok, ta para. Można zanucić tu piosnkę «O serce ciężkie serce czemuż jęczysz, a pęknąć nie możesz.» Na co serce odpowiada: «bo udziałem lub mową żalu ukoić nie możesz. Nie ma lepszego rymu. Nie należy nim pomiatać bo i taki nieraz kiedyś przydać się może.»

BRAVISSIMO.

— Posłuchaj: ryzykowałem;
I tak mi na wszystkie strony
Wiodło się w szczęściu zuchwałem,
Żem w rok zarobił miljony.

— Bravissimo! Szedłeś śmiało,
To też ci się i udało.
Odwaga — rzecz znakomita!
Jasiu — masz rozum i kwita.

— Poczekaj, daj skończyć bracie;
To był początek, a dalej,
Strata mnie biła po stracie,
I wszystko djabli porwali.

— Najuniżeniej dziękuję!
Kto to dzisiaj ryzykuje!
Na takim zawsze się skrupi.
Jasiu — wiesz co — jesteś głupi.

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Aż mię ręka swędzi i pióro rwie się naprzód do wielkiej polityki, o której wszyscy mówią we Lwowie. Idzie tu o przyszłą konstytucję dla kongresówki, którą podobno ma car nadać w dzień Nowego Roku, podług kalendarza greckiego. Pogłoski te, poparte artykułami gazet Warszawskich, naturalnie z upoważnienia rządu, muszą mieć coś prawdy i podobno zaniepokoiły różne wyższe sfery sąsiednich dworów. Jeżeli to wszystko się sprawdzi, ze strony Rosji byłby to mistrzowski szach, któryby nas postawił w pozycji gości dwóch karczem zbudowanych na przeciwko siebie. Dla przyciągnięcia komitentów zniżały one wciąż cenę kieliszka wódki, aż przyszło do tego, że jedna dawała wódkę za darmo... Kiedy tak, to ja za darmo, i w dodatku jeszcze obwarzanek — zawołał drugi arendarz, i tem pobił przeciwnika. — Bardzobyśmy sobie życzyli, żeby i nam zechciano ofiarować taki obwarzanek, który naprawdę zdałby się w tej chwili, gdy liczba ubogich miasta Lwowa zwiększyła się do sześciuset, jak donosi o tem stowarzyszenie dla usunięcia żebractwa.

Szanowne czytelniczki, w tej sprawie mam wielką ochotę po gniewać się z wami i wystąpić z kazaniem przeciw waszej obojętności dla nowego stowarzyszenia. Jak to, we Lwowie w stolicy posiadającej sto tysiączną ludność, stowarzyszenie z tak szlachetnemi i chrześciańskiemi dążnościami, nie mogło znaleźć więcej nad 400 członków? — to zgroza! I o cóż tu idzie? — o marne pięćdziesiąt centów składki na miesiąc, za które stowarzyszenie karmi i ogrzewa biedaków pozbawionych najpierwszej potrzeby życia— jedzenia... tego jedzenia, którego się nawet psu domowemu nie odmawia... Za pozwoleniem, chcecie się tłumaczyć... nie słucham, o niczem nie chcę wiedzieć — wasza wina i rzecz skończona! Jak wy chcecie coś otrzymać od waszych ojców, mężów lub kochanków, to tak ładnie umiecie prosić, tak milutko spoglądać, tak zręcznie się składać i w dobry humor wprowadzać tyranów waszych, że gdybyście tylko wzięły do serca sprawę ubogich, zaręczam, jutro już stowarzyszenie miałoby ośmiuset członków, a za tydzień — dwa tysiące... Jeżeli powiecie, że dotąd nie przyszło wam to na myśl — uwierzę. Teraz karnawał, w nadobnych główkach waszych tyle wiruje różnych, przeróżnych myśli o strojach, przyjemnościach i tańcach, że mogłyście zapomnieć na chwilę o ubogich drżących z głodu i zimna po ulicach... No, ale skoro wam przypominam, już nie można wątpić o waszem dobrem sercu. Biuro stowarzyszenia mieści się przy Ormiańskiej ulicy Nr. 18 i przyjmuje wkładki po 50 ct. miesięcznie, zaliczając wszystkich w poczet czł. stowarzyszenia. Nie namawiam żebyście szły tam umyślnie, ale ponieważ macie tyle sprawunków do załatwienia, więc idąc od Neufelda, albo od Jakóbka, od Towarnickiego lub którego ze sklepów w rynku, na Ormiańską ulicę już tylko kroków parę i sprawunek chrześciański będzie załatwiony. A jakto potem obiad doskonale smakuje, kiedy się pomyśli, że za te pięćdziesiąt centów stowarzyszenie nakarmi dziś kilku biedaków, którzy nas za to błogosławić będą. No, zdaje mi się żem tę rzecz przedstawił jasno i otwarcie, zatem oczekuję rezultatu na przyszły tydzień, a miło mi będzie donieść, że słowa moje nie były grochem rzucanym na serca wasze.

A teraz, mam dla was bardzo przyjemną i pocieszającą nowinę. Oto, wszystko zapowiada, że podczas tegorocznego karnawału ludzie bawić się będą na zabój. Z tych kilku wieczorków w domach prywatnych, które się już odbyły, wszyscy jednogłośnie utrzymują, że młodzież, a zwłaszcza płeć nadobna, ma wszelkie zacięcie do ochoczej zabawy. Zauważano tylko, że panowie z grzywkami i kolorowemi chusteczkami za gorsem, trochę się negliżują. Okręciwszy parę razy tancerkę po sali, zmykają do bufetu na papierosa i kieliszeczek, zkąd ich trudno nawet do figury mazurowej wydobyć. Moje młode czytelniczki zgorszone są tem wszystkiem, i ja także jestem zgorszony; jeżeli owe grzywki z chusteczkami za gorsem nie poprawią się w dalszym ciągu karnawału, otworzymy w kronice naszej osobną rubrykę, w której taki barbaryzm młodzieży lwowskiej podawać będziemy, opisując w ten sposób przestępców, że ich każdy natychmiast pozna. Będzie to rewolwerowa kronika, ale będzie...

Za to ze sfer prawniczych mamy solenne zapewnienia, że na balu, który wydają wierni słudzy Temidy, będzie zupełnie inaczej. Prawnicy to inna młodzież i przyrzekli pracować sumiennie do ostatniej kropli potu; dla tego śmiem rekomendować czytelniczkom prawniczą zabawę, na której zawodu nie doznają.

Z wielkiej polityki w ostatnim tygodniu tyle słychać, że Nowa Pressa została zewsząd w Galicji wyrugowaną, a jej korespondent lwowski schował się gdzieś w mysią jamę, czy też siedzi na pokucie za popełnienie tylu niedorzeczności i to na pokucie podług talmudycznego rytuału, dopóty, dopóki Nowa Pressa nie wyrobi mu konsularnego placet; inaczej bowiem nie bardzo mu bezpiecznie pokazać się na ulicy. Dalej, co do marszałka krajowego, dziennikarstwo nasze zapełniwszy całą beczkę kandydatami i zaszpuntowawszy jak się należy, odwróciła ją do góry, i zaczęło wyprowadzać do powtórnego prania kandydatów; mamy więc na balii znów księcia Czartoryskiego, który, daj Boże, żeby był ostatnim i jedynym.

Cóż więcej? — Mróz i czerwone nosy spacerujące po ulicach. Dla ludzi borykających się często z kieliszkiem, jestto najprzyjemniejsza chwila porównania stanów. Dziś, kto odróżni amatora gorących napojów od pięknej czytelniczki? — Mróz porównał ich nosy i konduity; w obliczu niego używamy w całej pełni praw konstytucyjnych.

HORWACI.

Dziwne a trudne do zbadania bywają losy ludów i narodów!

Niejednokrotnie naród, lubo nieliczny, ale pełen życia, wysokich zalet, przeznaczony może do odegrania niepoślednniej roli w dziejach, długie wieki może żyć, pracować, cierpieć, walczyć, podlegać różnym losom i przewrotom i prawie nie zwracać na siebie uwagi tych szczęśliwych ludów, które stoją na najjaśniejszem miejscu widowni świata i których codzienną kronikę fama dziennikarska po świecie roznosi.

Takim narodom nadaje dopiero rozgłos wielkie powodzenie lub wielkie klęski, a te ostatnie częściej stokroć aniżeli pierwsze..

W takiem położeniu znajdują się pobratymcy Chorwaci, lud w rodzinie słowiańskiej mało znany nietylko zachodowi, dla którego nawet w środku Europy wiele jeszcze jest sfinksowych zagadek geograficznych i etnograficznych, ale i braciom swoim Słowianom.

Telegraf przynosi ciągle wieści o nieustannych atakach sił podziemnych, z niepojętą zaciekłością srożących się nad biedną ziemią, sił, co za szczególniejszą ofiarę swą obrały jej serce, przewodniczkę, stolicę administracyjną, a jeszcze więcej duchową.., Zagrzeb.

Trzęsienie ziemi, klęski i spustoszenia, przerażenie i niepokój mieszkańców, ofiary międzynarodowego współczucia, wszystko to sprawia, że Zagrzeb i Chorwacja są w ustach i pamięci każdego niemal umiejącego czytać, ale niejeden z prawdziwej inteligencji nawet, mimo woli musi zadać sobie pytanie, co to za nieszczęśliwy naród, o którym teraz „głośno po świecie."

Chorwatów nie zna zachód, nie chcą znać Niemcy, nie ze wszystkiem znają nawet sami Słowianie.

Tissot objaśnił już zapewne znaczną część czytających Francuzów, jakie to ludy mieszkają między Sawą i Drawą, siedzą w miastach i siołach po nad środkowym Dunajem, ale nie ręczymy czy nie było wielu takich, co przystępując do jego: Voyage au pays des Tziganes, nie pomyśleli sobie, że dowiedzą się coś o szczególniejszej gałęzi cygańskiego plemienia, które nazywa się „les Croates," tak jak wielu z nich dziś jeszcze sądzi, że cyganie pochodzą z kraju po nad Wełtawą, zwanego: Bohême i że stanowią główną masę ludności tej: „pogranicznej między Azją i Europą Krainy..."

Dla Niemców, przedewszystkiem uczonych, istnieją nader ważne i zajmujące wnętrza Afryki, Ameryki południowej, kraje pod obu biegu-

nami, ale sąsiedzi ich słowiańscy, to — tabula rasa, która o tyle tylko zasłuży sobie na ich łaskawą ciekawość, o ile z wdzięczną uległością przyjmie nieoceniony dar dobroczynnej teutońskiej ręki... germanizację.

Dla nieuczonego Wiedeńczyka, naprzykład, zwłaszcza takiego, którego akademją jest giełda i kawiarnia „Kroboth is ka Mensch;“ dziś jeszcze „a lust'ger Weaner“ opowie ci, że przed stu z górą laty przychodziły do Wiednia straszliwe potwory w ubraniu od góry do dołu krwią ufarbowanem, w tornistrach na plecach miały one dzieci przyrządzone na pekeflejsz, a we flaszach drewnianych lub blaszanych „echtes menschliches Blut,“ że bez bynajmniejszego wstydu i sromu zajadały ową z ludzkiego mięsa marynatę i krwią popijały po ulicach cesarskiego miasta...

Nie jest to bynajmniej żart prosty. Istotnie tak się wcielili w podania wiedeńskie owi nieustraszeni pandurowie Trenka z czasów wojny siedmioletniej, przed którymi drżał niezwyciężony Fritz, dzielne hufce, co szły do boju przy dźwięku fletu i piszczałki, w czerwonych kołpakach i kaftanach, z chusteczkami wyszywanemi dłonią kochanek na szyi... Bili się oni jak lwy, wpadali niespodzianie, niby burza gradowa, a pustoszyli i łupieżyli wcale nie gorzej niż rajtery i landsknechty niemieckie, przemoc bowiem i grabież to przecież nieodłączne atrybuty militaryzmu, dopiero w najnowszych czasach przez wyższą cywilizację i prawo międzynarodowe okiełznane.

Po pandurach została jedna pamiątka trwała, muzyka wojskowa, oni bowiem pierwsi zaprowadzili ją u siebie, dzieci nieodrodne śpiewnego plemienia szli na śmierć, jak na gody, przy dźwięku nuty rodzinnej.

Po hufcach chorwackich, została jeszcze inna pamiątka, dziś stanowiąca niezbędną część cywilizowanego ubioru... krawat; sama nazwa wskazuje dokładnie, gdzie szukać początku krawata...

Poetyczny junak nie poszedł do boju wprzódy, póki nie zawiązał na szyi „vezenu maramuz“ — chustę wyszywaną rękoma drogiej; „djewojki,“ która, tuląc się do jego piersi z płaczem, przysięgała, że nie pójdzie za „nedragoga,“ ale będzie modlić się po dniach i nocach do „Majke Božje“ z Remetu lub Tersatu, aby jej: „dragoga“ żywego i całego z bojowej wyprawy powrócił.

Z tej nieznanej gdzieindziej ozdoby szydzili towarzysze broni: niedarmo żołnierz niemiecki u Szylera (Wallensteins Lager) pyta Słowianina „Kroat, wo hasst du dein Halsband gestohlen?“ Z czasem świat cywilizowany począł naśladować „ludożerców“ z nad Sawy i Drawy i dziś nikt się na ulicę nie ruszy bez czapki i krawata.

Jest to wstyd wielki dla Słowian, że się tak mało znają sami między sobą, a jeszcze większy, że nieraz sądzą jedni drugich pod natchnieniem oszczerstw obcych, którzy na waśnieniu ich zakładają swoje interesa polityczne. Jeszcze większy wstyd dla nauki, jeźli pozwala wpływać na siebie różnym uprzedzeniom, jeźli zyzem pogląda na uboczne względy stronnicze i dobrowolnie zamąca przezrocze źródło prawdy. Niech nie mówią o olimpijskim spokoju ludzi nauki i oni nie zawsze bywają czyści jak kropla krynicznej wody i oni dają się przekupić względom politycznym, religijnym, narodowym, a czasami i osobistym. Z taką nauką, w obrębie slawistyki chorwaci pięćdziesiąt lat blisko toczą walkę o uznanie najświętszych praw swoich: dobrobytu i odrębności etnograficznej.

Wielu uczonych, niezadowolonych z rozdrobnienia wielkiego plemienia słowiańskiego, sądziło, że zapobiegnie takowemu, negując jedne narody na korzyść drugich.

W imię tej idei chciano zdmuchnąć z powierzchni ziemi odrębność chorwacką, a ludność w czambuł zapędzić do sztucznej przegrody, ochrzczonej nazwą serbizmu; między Serbami i Chorwatami istnieje wspólność językowa, pewne podobieństwo w życiu i ustroju ludowym, nawet nazwy rodowe powtarzają się jedne i te same u jednych i u drugich, za to przebieg dziejów oddzielił ich wielce pod względem religijnym, cywilizacyjnym, nawet obyczajowym.

Szlachetniejsi marzyciele pragnęli połączyć południowych Słowian, przedewszystkiem Chorwatów i Serbów, pod wspólną chorągwią na równych prawach; niestety, usiłowania te, rozbijały się o niedorzeczne pretensje wielko-serbizmu; chciano od Chorwatów, aby dla mrzonki wyparli się swej przeszłości, cywilizacji zachodniej, nazwy narodowej, ideałów przyszłości.

Nic dziwnego, że Chorwaci po junacku odtrącili te roszczenia dzikie; dziś pracują nad sobą, nad rozwojem swej indywidualności, resztę pragnień swych pozostawiając na chwilę... upamiętania się zbłąkanych. Ale interwencja nieprzychylnych im uczonych nie pozostała bez smutnych skutków — świat mało wie o Chorwatach, najinteligentniejszych na południu Słowiańszczyzny przedstawicielach cywilizacji zachodniej — widmo serbskości ustawicznie zasłania ich przed światem.

Czas jest oddać suum cuique, uznać Chorwatów Chorwatami — niech to będzie pierwszym darem na osłodę temu tak wielce udręczonemu w ostatnich dniach narodowi...

Bronisław Grabowski.

KRÓLESTWO POEZJI *)

Przerzucając *Pamiętnik Warszawski* z 1815 roku, spotkaliśmy się z artykułem tłómaczonym z angielskiego p. t. „Geograficzne królestwa Poezji opisanie.“

Zaciekawieni tytułem poczęliśmy go czytać i znaleźliśmy w nim tyle dowcipnych spostrzeżeń i trafnych uwag o ówczesnej literaturze, że sądzimy, iż czytelnicy za złe nam nie wezmą, gdy ich z jego treścią zapoznamy.

Poezja — mówi autor — jestto królestwo obszerne i ludne.

Na zachód graniczy ono z *Wymową,* na południe z *Malarstwem i Rzeźbą,* na wschód z *Muzyką,* a na północ oblane jest oceanem *Erudycji.*

Całe królestwo dzieli się na wyższą i niższą Poezję.

Pierwszą zamieszkują tylko poważne i znakomite osobistości, których język tak się różni od mowy mieszkańców innych prowincyj, jak różni się naprzykład angielski od francuskiego.

Dodać należy, że wszyscy mężczyźni są tu bohaterami z profesji; kobiety są zaś tak piękne, że słońce przy najbrzydszej nawet niknie i maleje...

Lecz nietylko ludzie są tu bohaterami; to samo w pewnym stopniu można powiedzieć o koniach, które mkną szybciej od wichru; o drzewach, których wierzchołki nikną w obłokach i t. d. i t. d.

Epopeja — stolica tej krainy, leży na piaszczystej i niewdzięcznej glebie.

Jestto miasto podobno większe od Niniwy; to jednak wiemy na pewno, że z tych, co je przebyć chcieli, wielu bardzo ustało wpół drogi...

Charakterystyczną cechą mieszkańców całego niemal państwa jest, iż tak mało dbają o prawdę, a przytem z taką wiarą opowiadają bajki przez siebie stworzone, że podróżny najczęściej niewie czemu ma wierzyć, gdyż w żaden sposób prawdy od fałszu rozróżnić nie może...

Porządek społeczny w *Epopei* nie szczególny: prawie na każdym kroku widzimy kłótnie, pojedynki, morderstwa, co przyznać należy, całkiem nie miłe sprawia wrażenie; dość jednak wyjść na *Romanse,* aby zupełnie zapomnieć o niem.

Romanse — jestto przedmieście, większe od samego miasta; zewnętrzną szatą mało się ono różni od Epopei, gdyż gmachy są tu równie ozdobne, choć bezwarunkowo mniej wspaniałe.

Za to ludność całkiem tu inna; lud tu bowiem piękny arcy i dobrany..

Każdy tu podróżował i każdy rozkochany szalenie, wskutek czego życie mieszkańcom płynie wśród ciągłych zabaw, igraszek, tańców i śmiechu, a śluby tak częstem są tu zjawiskiem, że najkrócej nawet bawiący przechodzień co najmniej na kilku być musi.

Opodal wznoszą się zamki i ruiny, w których przemieszkują duchy i rozbójnicy, a dalej jeszcze przy jasnym dniu widać góry, skały i rozpadliny..

Są to góry *Tragedji,* na których tu i ówdzie piętrzą się szczątki starodawnych pomników.

Nie ma kraju równie smutnego pod słońcem; dość przybliżyć się, aby poczęła jakaś żałość serce nam ściskać, przytem lud tu dziwnie okrutny i srogi...

Przed wieki wznosił się w tej prowincji zaczarowany zamek.

Zwano go *Operą.*

Jakiś włoski czarnoksiężnik wybudował go w ten sposób, że z łatwością można go było przenosić z miejsca na miejsce; przypadkiem jednak osada pod zamkiem zniszczała i gmach sam chylący się do upadku zajęły wojska szarlatanów przybyłe z prowincji Niższej poezji.

Odtąd *Opera* poczęła zwać się *komiczną.*

W niewielkiej odległości wznoszą się mury starego grodu — *Komedji,* w którym każdy czuje pociąg do malowania z natury.

Różnie się to jednak różnym udaje.

Miasto dzieli się na pięć cyrkułów.

Przy wstępie do każdego napotykamy muzykę a czasem i tancerzy.

Przy bramie miasta stoi warta, zwana w języku miejscowym *Prologiem.*

Obowiązkiem jej jest obznajmiać przyjeżdżających z wszystkiemi pięknościami, jakie zo-

*) Redakcji jednego z pism warszawskich, udało się wynaleźć ten zajmujący i dowcipny artykulik — który my tutaj powtarzamy.

baczą, oraz upominać, aby się grzecznie zachowano, a to dlatego, by się zabezpieczyć przeciwko napaściom dzikiej i zjadliwej hordy *krytyków*, wieczną wojnę toczących z rzeczą pospolitą Poezji.

Opodal na jednym z pagórków rozsiadło się inne miasto, zwane *Dramatem*, nie tak jednak stare, jak gród *Komedji*.

Na granicy pomiędzy Wyższą i Niższą Poezją ciągnie się puszcza *Zdrowego rozsądku*, obfitująca w rozliczne bogactwa, niegdyś nawet bardzo ludna, dziś jednak przez szczupłą tylko garstkę mieszkańców zamieszkała.

Nie wielu z okolicznych mieszkańców dzisiaj z jej bogactw korzysta, może dla tego, że do niej prowadzą drogi bardzo niewygodne, po których trudno podróżować bez przewodników, tych zaś liczba bardzo ograniczona.

Na zachód leży prowincja *Płytkich dowcipów*.

Ludność tu nikczemna i próżna, która albo za drobnostkami goni, albo pędzi żywot w próżniactwie i rozkoszy.

Stołeczne miasto *Elegja*.

Ulubionem zajęciem mieszkańców jest naprzykład przechadzanie się w pośród skał, gaików, szemrzących strumieni, gdzie błądzą oni z głową spuszczoną i smutkiem na twarzy; dalej udzielanie miłostek i tajemnic martwym istotom, które błagają o milczenie, jakiego te przerwać ani mogą ani myślą...

Kadencja i Roztropność, dwie głębokie rzeki, skrapiają żyzne Poezji równiny.

Ostatnia przerzyna tylko puszczę zdrowego rozsądku, jest mało spławną i rzadko kiedy odwiedzaną.

Za to pierwsza, wypływająca z góry *Marzenia*, przebiega wszystkie prowincje Wyższej i Niższej Poezji i jest znaną wszystkim krajowcom zjednoczonego królestwa.

Prowincja *płytkich dowcipów* przytyka do obszernego lasu *Głupstwa*, tak gęsto zarosłego że dziś żaden promień światła nie może się do jego wnętrza przecisnąć...

Bór ten starożytnością swoją wzbudza w mieszkańcach taki szacunek, że mianoby sobie teraz za skrupuł ściąć w nim najmniejsze drzewko.

Z boru wychodzi się w równie rozległe jak nieurodzajne stepy *Naśladowania*.

Ludność uboga i leniwa żyje z grabieży lub podłej żebraniny, nie okazując nigdy dobrodziejom swoim nawet najmniejszej wdzięczności.

Na północ leżą małe i nędzne miasteczka: *Logogryf, Szarada, Zagadka* i inne niewarte wspomnienia.

Ciągle śniegi zalegają ulice, po których snują się mieszkańcy zazwyczaj umierający za młodu

Na oceanie *Erudycji*, niedaleko od królestwa Poezji leży wyspa *Satyr*, która przyjęła prawa sąsiedniego królestwa.

Woda w tem miejscu jest tak słona i powietrze tak ostre, że aż się to odbija na usposobieniu gniewliwych i ponurych mieszkańców wyspy...

Juwenalis panujący tam za czasów rzymskich przeistoczył w części srogą naturę wyspiarzy; po dziś dzień imię jego wspominają tu ze czcią i uwielbieniem.

Przed wieki horda łotrów wyruszywszy z półwyspu, zwanego *Epigramatem*, poczęła napadać na gruncie *Zdrowego rozsądku*; pokazało się jednak, że zarówno ona jak i statki: *Wodewile, Piosnki* i inne są zanadto słabe, by mogły budzić poważne obawy...

W końcu dodać musimy, że wielu pisało dzieła p. t. „Przewodnik dla podróżujących po królestwie Poezji“, żaden jednak z piszących wszystkich okolic tego kraju nie zwiedził...

Karnawał rzymski.

Nigdzie już dotąd w Europie karnawał nie zachował fantastycznych tradycyj średniowiecznych w tak niepokalanej czystości i pierwotnej sile, jak w Rzymie.

Gdy w dniach zapustnych staniemy na Corso, tej ludnej, gwarnej, ruchliwej ulicy, przedstawia nam się obraz, jakby skąpany cały w jutrzenkowych urokach doby średniowiecznej, w której fantazja była młodszą i płodniejszą — tworzyła też cuda i dziwy!...

Przed stu i dwiestu laty w dniu tym z pewnością było tu wszystko tak samo, jak dzisiaj...

Przypatrzmy się...

Oto ustawiają trybuny, lepią olbrzymie plakaty, zdobią pstremi kobiercami balkony, przekształcają stragany w eleganckie loże; białe anonse, naklejone na wszystkich przygotowanych dla widzów siedzibach, mieszczą lapidarne wyrazy: *loggia d'afitarsi.*

Za balkon płaci się 200 do 400 fr.

Karnawał rzymski trwa dni dziesięć, ale trzy tylko ostatnie roztaczają oku ową zgiełkową, malowniczą panoramę: wtorek i czwartek pierwszego tygodnia i wtorek drugiego, właściwy „dzień zapustny.“

O godzinie 3. popołudniu odzywa się sławny dzwon na Kapitolu, który ma tylko dwa przeznaczenia: ogłaszać zgon papieża i zwiastować początek karnawału; nikt głosu tego dzwonu nie słyszy, ale wszyscy wiedzą, że rozpoczyna się deszcz „coriandolów“.

Dawniej do wzajemnego obsypywania się „coriandolami“ używano cukierków *(confetti)*, później zaczęto dopożyczać do fabrykacji ich piasku, gipsu, i gliny.

Dzisiaj, chociaż policja corocznie najsurowiej zakazuje innych „coriandolów“, prócz cukrowych, przecież od wieku nikt w Rzymie nie widział innych, prócz z gipsu i gliny — przemysł i duch wieku!..

W dniu tym, wychodząc na Corso, należy ubrać stary, zużyty surdut i miękki filcowy kapelusz — gdyż »*coriandoli*« zbrudzą i zniszczą wszystko...

Ubrani czarno i w cylindrach znosić muszą tem obfitszą ulewę tych lotnych cacek, które lepiej odbijają od twardych cylindrów i lepiej farbują czarną suknię.

Już to na cylinder spada grad najgęstszy nie samych już »*confetti*« i »*coriandoli*«, ale nawet głów kapusty.

Znęcanie się to nad biednem okryciem głowy niedoświadczonego turysty trwa tak długo, dopóki cylinder nie zamieni się w jakąś bezkształtną ciemną masę, której początku, formy i przeznaczenia nikt odgadnąć nie zdoła.

Tymczasem balkony zaczynają się przepełniać gośćmi, zarówno mieszkańcami Rzymu, jak turystami z odległych ziem przybywającymi na tę biesiadę oka.

Krzyżowy ogień się zaczyna, zgiełk podnosi...

Oto dojrzał nas ktoś znajomy.

I wnet cały ładunek „coriandolów“ spada nam na głowę — odpowiadamy — i rozpoczyna się bitwa cukierkowych tytanów; olbrzymie warstwy pyłu gipsowego wloką się pod nad walczącem Corso.

Pomiędzy rozgorączkowanym tłumem przeciska się wóz z maskami: tam wnet przenosi się ognisko walki, tam wre i kipi najzawzięciej kanonada.

Spokojni widzowie tych scen nie mniej są charakterystyczni, jak szaleni uczestnicy.

Oto tam — na trzeciem piętrze usiadł Anglik, z „reisebuchu“ wiedzący, jak niebezpiecznem dla całości oblicza bywa deszcz „coriandolów“; ubrał się przeto w grubą maskę z drutu, i bezpieczny o siebie!

Tam znowu »*reverend*« anglikański kryje się trwożliwie po za węgłem okna, czując, że powaga godności kapłańskiej nie pozwala mu przyglądać się tej „wieży Babel.“

Ówdzie znów jakaś stara księżna paluszkami zaostrzonemi w stylu Ludwika XIV rzuca z swej loży pomiędzy lud trzy ziarnka grochu i lornetką bada chciwie wrażenie swego dowcipu.

Takich typów mnóstwo!..

Rzymianka, czująca swoją godność, rzuca tylko na znajomych.

Mężczyzna odpowiada jej bukietem, za co przyjazny otrzymuje pokłon.

Znam dwie panie, które w ciągu dwóch godzin rozsypały 5,600 kilogramów tego gipsowego śrutu; prawda, że sypały go eleganckiemi łopatkami, które trzymały w rączkach...

Najcięższy los znoszą żandarmi, stojący na rogach ulic; oblicza ich *ex officio* odkryte muszą najgęstszy odbierać deszcz cukierków — pełnią też swój obowiązek z apatją prawdziwych stoików...

Nasuwa się pytanie, jaki udział w tym szalonym tańcu ma lud rzymski? najmuje on balkony, sprzedaje »*confetti*« i kwiaty, tłoczy się i przygląda — ulicznicy porywają skwapliwie z ziemi upadłe bukieciki...

W drugiej połowie karnawału nie wolno bawić się w »*confetti*« i »*coriandoli*«; rzucają się wtedy już tylko kwiaty i — *razzi d'amore*, rakiety miłości, jakoto orzechy i bonbony z długiemi frendzlami z papieru.

Cały Rzym tłumi się wtedy na Corso i popycha pośród śmiechu i wrzawy, którą podsyca pstry »*pulcinello*«.

Dzisiejszy „karnawał rzymski“, jakkolwiek nie zmienił swej postaci zewnętrznej, zmienił jednakże właściwy swój charakter; nie jestto już uroczystość rzymskiego ludu, ale widowisko dla cudzoziemców; nie »*popolo*« gra tu główną rolę, ale ze wszystkich stron świata nadbiegli »*forestieri*«.

Nawet zleniwiał już taniec ludowy pod gołem niebem, którego niegdyś z takim ogniem pląsano bądź to na Piazza Navona, bądź w „osterjach“ przy bramie *del Popolo.*

O godzinie 5 odzywają się trzy salwy działowe, dające hasło, ażeby wozy oddaliły się z Corso.

Następnie pojawiają się żołnierze i tworzą szpalery, usuwając na bok publiczność, która

wszakże nawoływań i przekleństw nie słyszy i tłoczy się jak przedtem środkiem szpalerów.

Nareszcie sygnał trąbka zwiastuje wypuszczenie koni; teraz gwałtownie wszystko uchodzi na chodniki, a w środku ulicy pozostaje próżna przestrzeń na 10 stóp szeroka.

Sześć parskających rumaków bez jeźdźców pędzi wśród dzikiego okrzyku tłumów; zowią je: *i barberi!* — berberyjskie rumaki.

Zdobią je w wstążki i brząkadła, a często nawet w kłujące bodźce; na każdej stronie ciała malują białą olejną farbą dwie olbrzymie liczby i zakrywają oczy.

Gdy już kostjum gotowy, natenczas płoszy się je świstem piszczałki, odsuwa przegrodę i rumaki pędzą na oślep wśród fantastycznego ryku zgorączkowanych tłumów, aż dopóki jeden z nich nie znajdzie się pierwszy u mety...

Wypadki bywają rzadkie, bo wrzawa, wyrywająca się mimowolnie ze wszystkich piersi, ostrzega pędzące konie o ludzkiej obecności.

Gdy rozegrane rumaki dotrą do pałacu weneckiego, który zwyczajnie stanowi kres gonitwy, natenczas szybko rozścielają przed nim czerwone sukno, w którem biedne zwierzęta uwikławszy się, padają na ziemię przy ogólnym tryumfującym śmiechu widzów...

„Gonitwy barberich" kończą zwykle zabawę...

Tylko w ostatni dzień świąteczny następują jeszcze *»moccoli«*; skoro tylko ciemność pokryje ulice, wnet na jakimś ponurym pałacu zabłyśnie srebrna gwiazda, na innym druga, tam znowu gdzieś trzecia, a potem tuziny, setki, tysiące gwiazdek; pełno ich w powozach, mrugają niemi *»loggie«*, okna, krużganki i dachy.

Fale świateł pływają w spokojnem, czystem powietrzu włoskiem... u dołu zaś pędzą skłębione fale ludu, usiłujące zdmuchnąć te lotne iskierki.

Sług Eola znajduje się wreszcie więcej, niż świętojańskich robaczków i wtedy całun mroku pokrywa znowu ziemię.

Tylko tam w górze świecą i dalej gwiazdy — których wszakże nie zapala ani nie gasi ludzka ręka!

BIBLIOGRAFIA MUZYCZNA.

Dla miłośników muzyki nie bez interesu będzie wiadomość o najnowszych publikacjach na tem polu. Ile biegli w praktyce i expresji dzieł najpotężniejszych mistrzów, o tyle mniej znacznie powiadomieni jesteśmy o teoretycznych nabytkach w dziedzinie tonów.

Ostatniemi czasy pojawiły się w literaturze francuskiej, angielskiej i niemieckiej rzeczy, które dla muzykalnej publiczności w żadnym razie obojętnemi być nie powinny.

W Paryżu u Didot'a wyszedł już ostatni tom znakomitej Fetis'a *»Biographie universelle de musiciens«* pióra Artura Pongin'a. Dzieło to napisane przez znakomitego znawcę muzyki daje dokładny obraz encyklopedyczną manierą obecnej chwili. Sąd zawsze objektywny, cośkolwiek tylko stracił na wartości, gdy przyszło mówić o Ryszardzie Wagnerze i Offenbachu, co do których autor z pod wpływu własnych sympatji i antypatji uwolnić się nie mógł. Znacznie większą wartość niż biografie Pongin'a ma najnowsza publikacja angielska Jerzego Grove: *»A dictionary of Music and Musicians« w Londynie u Macmilliana 1880.*

Jestto olbrzymia encyklopedja muzyki, świetny, imponujący bogactwem szczegółów, a jednak jasny i wspaniały obraz muzyki nie tylko ze stanowiska uczucia ale pojętej jako nauka, jako umiejętność.

Z niemieckich rzeczy prócz świetnego wydania illustracji M. Schwinda u Bruckmana w Monachium p. t. *»Opern-Cyklus in Foyer des k. k. Hofopern teaters in Wien* i niezmiernie obszernej biografii. Liszta *(A. Ramau Franz Liszt. Erster Band Leipzig 1880)* na 570 stronnicach, nie mamy nic do zanotowania.

Polska muzyczna literatura zaczyna się dopiero rozwijać w Warszawie i dla tego prócz znanej powszechnie pracy Żeleńskiego nic się nowego nie ukazało.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** „Album dla Zagrzebia" wydane staraniem lwowskiego „Koła Literackiego" na rzecz dotkniętych trzęsieniem ziemi Zagrzebian, wyszło z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach po cenie złr. 1·50. Album to zawiera 33 prac członków koła, nader ciekawych i zajmujących.

*** W Gnieźnie wyszło obszerne dzieło dr. Sieniawskiego, członka Toruńskiego tow. nauk. p. t. „Pogląd na Dzieje Słowian Zachodnio-północnych między Łabą (Elbą) a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową, aż do utraty politycznego bytu i znamion narohowych." Ocenę tej pracy podamy później.

*** Węgierska akademja nauk wyznaczyła nagrodę tysiąc dukatów za najlepszą „Historję Bośnji pod panowaniem węgierskiem od połowy dwunastego wieku do upadku Jacsasa".

*** Młodzież czeska wyda na rzecz Zagrzebian almanach pamiątkowy.

*** Z Monachium donoszą, iż znakomity nasz artysta-malarz Józef Brandt ozdobiony został przez J. K. M. Ludwika Bawarskiego wysokim znakiem honorowym, orderem św. Michała I-ej klasy.

*** Czasopismo czeskie „Svetozor" pomieściło portret znakomitego etnografa Oskara Kolberga, przyczem załączono jego życiorys.

*** Wiedeńska ilustracja „Heimath" podaje reprodukcję obrazu Siemiradzkiego: „On i ona", przyczem znajduje się obszerny jego życiorys.

*** Ilustracja kastylska wychodząca w Barcellonie, zamieszcza widok „Łazienek królewskich" w Warszawie.

*** Nakładem księgarni Karola Wilda we Lwowie znowu wyszły wyborne tańce na fortepian: „Modebilder" walce I. Hopfa oraz „Krakowiacy i Górale", kadryle W. Madurowicza.

*** P. Sonnenfeld napisał muzykę do dwóch nowych operetek.

Będą one grane w sezonie letnim w teatrzykach ogródkowych Warszawskich.

*** Na jednej ze scen petersburskich miano w tych dniach wystawić operę niejakiego Kürnera „Taras Bulba".

Z treści jej podanej w dziennikach petersburskich widać, iż jest ona niby wyjętą z dziejów Polski i Kozaczyzny a osnutą na tle powieści Gogola.

Część akcji odbywa się też w Warszawie.

Ciekawi jesteśmy, jak wygląda przeszłość polska po przepuszczeniu jej przez alembik gogolowsko-kürnerowski!

Społeczne i ekonomiczne.

*** W dniu 4. b. m. nastąpiło otwarcie „Koła artystyczno-literackiego" w Krakowie skromną ucztą w gronie członków.

O ósmej wieczorem lokal „Koła" gustownie urządzony zapełnił się doborem towarzystwa, złożonego z literatów, uczonych i artystów.

Pomiędzy innymi byli prezes Majer, kilku profesorów uniwersytetu, Falkenkagen —Zaleski, Kossak, Asnyk, Bałucki, hr. Dzieduszycki i Przeździecki.

Brakło Szujskiego i Matejki, którzy dla niezdrowia przybyć nie mogli, oraz hr. Tarnowskiego, nieobecnego w Krakowie.

Uroczystości poświęcenia dopełnił ks. Polkowski.

Pierwszy toast na cześć członków wniósł prezes koła, Juljusz Kossak.

Drugi toast za powodzenie instytucji wygłosił A. Bartels w dziarskiej formie wierszowanej.

Potem nastąpiły inne zdrowia, które ożywiły towarzystwo i nadały zabawie charakter pełny humoru.

Po kolacji nastąpił koncert.

*** Mówią iż wkrótce już uzyskać ma zatwierdzenie ustawa emerytalna dla artystów sceny warszawskiej.

*** W Berlinie odbył się wielki meeting antisemicki, w którym uczestniczyło około sześciu tysięcy osób. Wypowiedzianych zostało kilka gwałtownych mów. Na ulicy dla utrzymania porządku postawiono 200 policjantów.

*** W Londynie robiono doświadczenia na wieży św. Pawła, z których okazało się, że w górnych strefach nad miastem niema wcale mgły, ani dymu a powietrze jest zupełnie świeże i czyste.

Na skutek tego zaprowadzone być mają rury nadzwyczaj wysokie z odpowiednim przyrządem wysysającym, celem napełniania świeżem powietrzem gmachów publicznych.

Jeżeli pomysł wejdzie w wykonanie, to warunki hygieniczne stolicy wiele na tem zyskają.

***W Paryżu najmodniejszą zabawką a zarazem upominkiem noworocznym jest t. z. „Kwestja pamańska."

Pologa ona na bardzo trudnem rozwiązywaniu lekko zasnutych węzłów...

*** Dzienniki rosyjskie pełne są szczegółów o trzęsieniu ziemi, jakie miało miejsce 25. z. m. w Odessie, Tyraspolu, Kiszyniowie i okolicy i które sięgało aż do Winnicy w Gubernni Podolskiej. Nie było ono tak silne jak w Zagrzebiu, zawsze jednak poczyniło szkody nie małe, a ludność napełniło panicznym strachem. W Odessie, w drukarni Nitschego czcionki podskakiwały w kasztach i litery pomięszały się, w jednym zaś z domów przy ulicy Polskiej, wypadł z łóżka śpiący na niem lokator. Wiele kobiet zemdlało i rozchorowało sie.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.